

*Ta książka jest dla Tasary*

## ROZDZIAŁ 1

### Kenna

Przy drodze, wetknięty w ziemię, stoi mały drewniany krzyż z datą jego śmierci.

Scotty byłby wściekły. Pewnie postawiła go jego matka.

– Możesz zjechać na pobocze?

Kierowca zwalnia i zatrzymuje taksówkę na skraju drogi. Wyśiadam i wracam do krzyża. Poruszam nim na boki, żeby poluzować ziemię i wyciągnąć drzewce.

Czy umarł w tym miejscu? A może na drodze?

Podczas postępowania przedprocesowego nie zwracałam uwagi na takie szczegóły. Kiedy usłyszałam, że odczołgał się kilka metrów od samochodu, zaczęłam mrużyć pod nosem, aby nie docierały do mnie słowa prokuratora. Później przyznałam się do winy, żeby uniknąć wysłuchiwania szczegółów, gdyby sprawa trafiła na wokandę.

Bo praktycznie rzecz biorąc, byłam winna.

Może nie zabiłam go swoimi czynami, ale na pewno zrobiłam to swoim zaniedbaniem.

*Sądziłam, że nie żyjesz, Scotty, ale przecież martwi nie potrafia się czułgać.*

Wracam do taksówki z krzyżem w dłoni. Kładę go na tylnym fotelu obok siebie i czekam, aż kierowca ruszy, ale on tego nie robi. Spoglądam na niego przez lusterko wsteczne. Gapi się na mnie i unosi brwi.

– Kradzież przydrożnych krzyży musowo sprowadza złą karmę. Na pewno tego chcesz?

Odwracam wzrok i kłamię:

– Tak. Sama go tu postawiłam.

Kierowca skręca na drogę, a ja nadal czuję na sobie jego wzrok.

Moje nowe mieszkanie znajduje się zaledwie trzy kilometry stąd, w przeciwnym kierunku niż mój dawny dom. Nie mam samochodu, więc postanowiłam znaleźć lokum bliżej centrum, żeby chodzić do pracy piechotą. Jeśli w ogóle zdołam znaleźć jakąś pracę. Nie będzie łatwo z moją przeszłością i brakiem doświadczenia. I złą karmą, którą zdaniem taksówkarza przed chwilą na siebie ściągnęłam.

Kradzież krzyża Scotty’ego mogła sprowadzić na mnie złą karmę, ale równie dobrze mogło ją ściągnąć pozostawienie krzyża mającego upamiętnić faceta, który mówił otwarcie o swojej niechęci do przydrożnych krzyży. Dlatego kazałam kierowcy zrobić objazd, żeby przejechać boczną drogą. Wiedziałam, że Grace postawi coś w miejscu wypadku, i czułam, że jestem winna Scotty’emu usunięcie pamiętki.

– Gotówka czy karta? – pyta kierowca.

Spoglądam na licznik i wyciągam forszę, doliczając napiwek. Podaję taksówkarzowi pieniądze, kiedy się zatrzymuje. Później chwytam walizkę i drewniany krzyż, który przed chwilą ukradłam, gramolę się z auta i ruszam w kierunku budynku.

Moje nowe mieszkanie nie należy do dużego kompleksu. To pojedynczy budynek z opustoszałym parkingiem po jednej i sklepem spożywczym po drugiej stronie. Okno na dole zabito dyktą. Wszędzie walają się puszki po piwie, niektóre całkiem nowe, inne stare i zgniecione. Kopię na bok jedną z nich, żeby nie utkwiała w kołach mojej walizki.

Miejsce wygląda gorzej niż na zdjęciach w internecie, ale czegoś takiego się spodziewałam. Właścicielka nawet nie zapytała mnie o nazwisko, kiedy zadzwoniłam, żeby sprawdzić czy mają wolne lokale.

– Zawsze się coś znajdzie – oznajmiła. – Zabierz gotówkę. Mieszkam pod jedyńką – dodała i odłożyła słuchawkę.

Pukam do jedyńki. W oknie siedzi kot i gapi się na mnie. Jest tak nieruchomy, że zastanawiam się, czy to nie figurka, ale po chwili zwierzak mruga ślepiami i znika.

Drzwi się otwierają i mierzy mnie wzrokiem starsza, drobna kobiecina ze zde gustowaną miną. Ma wałki we włosach i szminkę rozmazaną pod sam nos.

– Jeśli coś sprzedajesz, niczego nie potrzebuję.

Spoglądam na ślady szminki, zwracając uwagę na to, jak rozlała się w zmarszczkach otaczających usta.

– Dzwoniłam w ubiegłym tygodniu w sprawie mieszkania. Powiedziała pani, że jakieś się znajdzie.

Na twarzy podobnej do śliwki pojawia się grymas, jakby sobie o tym przypomniała. Mruczy pod nosem, lustrując mnie od stóp do głowy.

– Nie sądziłam, że będziesz tak wyglądać.

Nie wiem, jak rozumieć jej słowa. Gdy odchodzi, oglądam swoje dzinsy i koszulkę. Po chwili wraca z woreczkiem zapinym na zamek błyskawiczny.

– Pięćset pięćdziesiąt miesięcznie. Dzisiaj za pierwszy i ostatni miesiąc.

Odliczam pieniądze i podaję jej.

– Nie będzie umowy?

Rechocze, wpychając banknoty do woreczka.

– Mieszkasz pod szóstką. – Wskazuje palcem w górę. – To nade mną, więc nie hałasuj. Wcześniej się kładę.

– Czy media są w cenie?

– Woda i śmieci tak, ale osobno płacisz za prąd. Na razie jest włączony. Masz trzy dni, żeby zarejestrować licznik na swoje

nazwisko. Trzeba wpłacić dostawcy prądu dwieście pięćdziesiąt dolarów depozytu.

Mam tylko pieprzone trzy dni, żeby skombinować dwieście pięćdziesiąt dolarów? Zaczynam wątpić w słuszność decyzji o tak szybkim powrocie, ale po opuszczeniu domu tymczasowego miałam dwie możliwości: wydać całą forszę na przeżycie w tamtym mieście lub przejechać niemal pięćset kilometrów i wydać ją tutaj.

Wolałam mieszkać w mieście, gdzie są wszyscy ludzie, którzy byli kiedyś związani ze Scottym.

Kobieta wycofuje się do mieszkania.

– Witaj w „Rajskich Apartamentach”. Kiedy się zadomowisz, przyniosę ci kotka.

Błyskawicznie kładę dłoń na drzwiach, żeby ich nie zamknęła.

– Chwileczkę! Co? Jakiego kotka?

– Ano tak. K o t e k. To taki kot, tylko mniejszy.

Odstępuję od drzwi, jakby miało mnie to ochronić przed tym, co przed chwilą powiedziała.

– Dziękuję, ale nie. Nie chcę kotka.

– Mam ich zbyt wiele.

– Nie chcę kotka – powtarzam z naciskiem.

– Jaki człowiek nie chciałby kotka?

– Ja.

Obrusza się, jakby moja odpowiedź była kompletnie niedorzeczna.

– Mam propozycję – mówi. – Jeśli weźmiesz kotka, przez dwa tygodnie będziesz mogła korzystać z prądu.

*Co to za miejsce, do cholery?*

– No dobrze – podejmuje, biorąc moje milczenie za taktkę prowadzenia negocjacji. – Przez m i e s i ą c. Nie wyłączę prądu przez cały miesiąc, jeśli weźmiesz jednego kotka. – Wycofuje się do mieszkania, ale nie zamyka drzwi.

Nie chcę żadnego kotka, jednak uniknięcie wpłaty dwustu pięćdziesięciu dolarów depozytu za prąd w tym miesiącu jest warte przygarnięcia nawet i kilku kociąt.

Kobieta ukazuje się ponownie z czarno-rudym kociakiem.

– Oto ona. – Kładzie zwierzę na moich rękach. – Jeśli będziesz czegoś potrzebować, jestem Ruth, ale postaraj się nie zawracać mi głowy. – Zabiera się ponownie do zamknięcia drzwi.

– Chwileczkę. Może mi pani powiedzieć, gdzie znajdę automat telefoniczny?

Rechocze.

– Automat? W dwa tysiące piątym roku. – Zamyka drzwi na amen.

Kotek miauczy, ale nie jest to słodkie miauczenie. Przypomina raczej wołanie o pomoc.

– Obie potrzebujemy ratunku – mrużę pod nosem.

Ruszam w kierunku schodów ze swoją walizką i swoją... kotką. Może powinnam była wstrzymać się jeszcze parę miesięcy przed przyjazdem tutaj. Pracowałam, ale udało mi się zaoszczędzić niewiele ponad dwa tysiące dolarów. Większość pieniędzy poszła na przeprowadzkę. Trzeba było odłożyć więcej. Co będzie, jeśli od razu nie znajdę pracy? Na dodatek zostałam obarczona odpowiedzialnością za małą kotkę.

Moje życie stało się po prostu dziesięć razy trudniejsze niż wczoraj.

Docieram do mieszkania z kotką wczepioną w koszulkę. Wkładam klucz do zamka. Muszę użyć obu rąk, żeby przyciągnąć drzwi i obrócić klucz. Kiedy je pcham, aby wejść do swojego nowego mieszkania, wstrzymuję oddech, pełna obaw, że w środku będzie śmierdzieć.

Włączam światło i rozglądam się wokół, powoli wypuszczając powietrze z płuc. Właściwie niczego nie czuć, co można uznać jednocześnie za dobry i zły znak.

W salonie jest kanapa i na tym koniec. Dosłownie. Mały salonik, jeszcze mniejsza kuchnia i żadnej jadalni. Sypialni również brakuje. Skromniutka kwatery z szafą i łazienką tak małą, że sedes dotyka wanny.

To jakaś dziura. Kanciapa o powierzchni niecałych pięćdziesięciu metrów kwadratowych, ale dla mnie stanowi krok naprzód. Z liczącej dziesięć metrów kwadratowych celi, którą dzieliłam ze współsądzoną, i domu tymczasowego, gdzie pomieszkiwałam z sześcioma innymi kobietami, przeszłam pięćdziesięciometrowego mieszkania, które mogę nazwać własnym.

Mam dwadzieścia sześć lat, ale to mieszkanie jest pierwszym, w którym będę sama. To przerażające, a jednocześnie wyzwalające uczucie.

Nie mam pojęcia, czy pod koniec miesiąca będzie mnie na nie stać, ale zamierzam spróbować. Nawet jeśli oznacza to złożenie podania o pracę w każdym mijanym miejscu.

Posiadanie własnego mieszkania może mi pomóc, gdy będę bronić swojej sprawy przed rodziną Landrych. Pozwoli mi udowodnić, że jestem niezależna. Nawet jeśli ta niezależność okaże się pełna zmagania.

Koteczka chce zejść, więc stawiam ją na podłodze w salonie. Obchodzi pokój, płacząc za czymś, co zostawiła na dole. Czuję ukłucie w piersi, gdy patrzę, jak bada kąty w poszukiwaniu wyjścia. Drogi do domu. Do matki i rodzeństwa.

Z tymi czarnymi i pomarańczowymi łatkami wygląda jak trzmiel lub jakieś stworzenie z Halloween.

– Jak cię nazwać?

Wiem, że przez kilka dni będzie bezimienna, dopóki sobie tego nie przemyślę. Bardzo poważnie traktuję obowiązek nadawania imion. Ostatnim razem, gdy to robiłam, potraktowałam to zadanie tak poważnie jak jeszcze nic w życiu. Może dlatego, że całą ciężę przesiedziałam w celi, a nie było tam niczego do roboty oprócz myślenia o imionach dla niemowlęcia.

Wybrałam imię Diem, bo wiedziałam, że gdy tylko wyjdę na wolność, wrócę tutaj i zrobię wszystko, aby ją odnaleźć.

No i jestem.

*Carpe Diem.*

## ROZDZIAŁ 2

### Ledger

Kiedy skręcam pikapem w alejkę za barem, widzę, że na paznokciach prawej dłoni nadal mam lakier. Cholera. Zapomniałem, że ostatniego wieczoru bawiłem się w przebieranki z czterolatką.

W każdym razie fiolet pasuje do służbowej koszuli.

Gdy wysiadam z samochodu, Roman wrzuca worki ze śmieciami do kontenera. Widzi prezentową torebkę w mojej dłoni. Wie, że to dla niego, więc wyciąga rękę.

– Niech zgadnę. Kubek do kawy? – Zagląda do środka.

Pewnie, że kubek. Jak zawsze.

Nie dziękuje. Nigdy tego nie robi.

Nie wspominamy o trzeźwości, którą symbolizują te naczynia, ale kupuję mu jedno w każdy piątek. Ten kubek jest dziewięćdziesiątym szóstym, który ode mnie dostał.

Pewnie powinienem z tym skończyć, bo jego mieszkanie jest pełne kubków do kawy, ale za bardzo się zaangażowałem, żeby teraz odpuścić. Roman jest trzeźwy od niemal stu tygodni, a ja od jakiegoś czasu trzymam na tę okazję „setny kubek milowy”.

To kubek Denver Broncos, drużyny, którą darzy najmniejszą sympatią.

Roman pokazuje mi tylne drzwi prowadzące do baru.

– W środku jest para, która zakłóca spokój innym gościom. Pewnie zechcesz mieć ich na oku.

Dziwne. Zwykle o tak wczesnej porze nie musimy się użerać z niesfornymi klientami. Nie ma jeszcze szóstej wieczorem.

– Gdzie siedzą?

– Przy szafie grającej. – Zatrzymuje wzrok na mojej ręce. – O rany, jakie ładne paznokcie.

– Prawda? – Podnoszę dłoń i poruszam palcami. – Dobrze się spisła jak na czterolatkę.

Kiedy otwieram tylne drzwi baru, wita mnie zgrzytliwy dźwięk mojej ulubionej piosenki, którą kapela Ugly Kid Joe kalecty przez głośniki.

*To nie może być prawda.*

Przechożę przez kuchnię i zaglądam do baru. Dostrzegam ich od razu. Stoją pochyleni nad szafą grającą. Zbliżam się po cichu i widzę, że ona ciągle wciska cztery te same cyfry. Zaglądam im przez ramię, na ekran, gdy chichoczą jak psotne dzieci. *Cat's in the Cradle* zostanie odtworzone trzydzieści sześć razy z rzędu.

Odchrząkuję.

– Myślicie, że to zabawne? Zmuszać mnie do słuchania tej samej piosenki przez bitych sześć godzin?

Ojciec odwraca się na pięcie, kiedy słyszy mój głos.

– Ledger! – Przyciąga mnie do siebie, żeby przytulić. Pachnie piwem i olejem silnikowym. I może limonką. *Są pijani?*

Moja matka odwraca się od szafy grającej.

– Próbuujemy ją tylko naprawić. Niczego nie zepsuliśmy.

– Ależ skąd. – Przyciągam ją do siebie i przytulam.

Nigdy nie zapowiadają swojego przybycia. Po prostu wpadają i siedzą dzień, dwa lub trzy, a później odjeżdżają swoim kamperem.

Nowością jest to, że zjawili się wstawieni. Oglądam się przez ramię na Romana, który stoi za barem.

– Ty im to zrobiłeś, czy sami się tak skuli? – wskazują rodziców.

Roman wzrusza ramionami.

– Jedno i drugie.

– To nasza rocznica – tłumaczy moja matka. – Świętujemy.

– Mam nadzieję, że nie przyjechaliście tu samochodem.

– Ależ skąd – zaprzecza ojciec. – Wóz jest na przegładzie w warsztacie, razem z kamperem, więc skorzystaliśmy z podwozki. – Klepie mnie po policzku. – Chcieliśmy cię zobaczyć, ale czekamy już od dwóch godzin, a teraz wychodzimy, bo zgłodnieliśmy.

– Dlatego powinniście mnie uprzedzić, że wpadniecie do miasta. Mam własne życie.

– Pamiętałeś o naszej rocznicy? – pyta ojciec.

– Wyleciało mi z głowy. Przepraszam.

– A nie mówiłem! – Ojciec odwraca się do mojej matki. – Forsa, Robin.

Matka sięga do kieszeni i wręcza mu dziesięciodolarowy banknot.

Zakładają się niemal o wszystko. O moje życie uczuciowe. O to, które wakacje będę pamiętał. O wyniki meczów futbolu, w których grałem. Mimo to jestem niemal pewny, że od kilku lat wymieniają się tym samym dziesięciodolarowym banknotem.

Ojciec podnosi pustą szklankę i nią potrząsa.

– Następna kolejka, barmanie!

Odbieram jego naczynie.

– Co powiesz na wodę z lodem? – Zostawiam ich przy szafie grającej i idę na swoje miejsce za ladą.

Nalewam dwie szklanki wody, kiedy do baru wchodzi dziewczyna, która wydaje się zagubiona. Rozgląda się po sali jak osoba, która tu nigdy nie była, a gdy dostrzega pusty narożnik z drugiej strony baru, rusza prosto ku niemu.

Obserwuję ją, gdy idzie przez salę. Patrzę tak intensywnie, że niechcący przelewam szklanki i woda rozchlapuje się na

wszystkie strony. Sięgam po ręcznik i sprzątam po sobie bałagan. Kiedy spoglądam na mamę, widzę, że i ona patrzy na przybyłą. A później na mnie. I znowu na tę dziewczynę.

*Cholera.* Brakuje tylko tego, żeby zaczęła mnie swatać z klientką. Kiedy jest trzeźwa, często próbuje odgrywać rolę swatki, więc wolę sobie nawet nie wyobrażać, w jaki sposób ta skłonność może się uzewnętrznić po kilku drinkach. Muszę ich stąd wyprowadzić.

Niosę im wodę, a później podaję matce swoją kartę kredytową.

– Powinniście wstąpić do restauracji „Steki u Jake’a” i zjeść obiad na mój koszt. Przejdźcie się, żeby wytrzeźwieć po drodze.

– Jesteś taki miły. – Matka przyciska dłoń do serca w dramatycznym geście i patrzy na ojca. – Benji! Jak on nam się udał! Uczcijmy rodzicielski sukces jego kartą kredytową!

– Faktycznie się udał – przytakuje ojciec. – Powinniśmy byli mieć więcej dzieci.

– Menopauza, kochanie. Pamiętasz jak cię nienawidziłam przez cały rok? – Moja matka sięga po torebkę. Wychodzą, zabierając ze sobą szklanki z wodą.

– Skoro on płaci, powinniśmy zamówić antrykot – mamrocze na odchodnym mój ojciec.

Oddycham z ulgą i ruszam do swojego miejsca za barem. Dziewczyna siedzi cichuteńko w narożniku i zapisuje coś w notesie. Nie widzę tu Romana, więc zgaduję, że nikt nie przyjął jej zamówienia.

*Zgłaszam się na ochotnika.*

– Czym mogę służyć? – pytam.

– Poproszę wodę i dietetyczną colę.

Nie podnosi wzroku, więc odchodzę, żeby zrealizować zamówienie. Kiedy wracam z napojami, w dalszym ciągu coś notuje. Próbuję podejrzeć, co tam pisze, ale zamyka notesik i podnosi wzrok.

– Dziękuję... – przerywa w połowie zdania, które, jak sądzę, miało brzmieć „dziękuję panu”. Wymrukuje słowo „panu” i wtyka słomkę do ust.

Sprawia wrażenie podenerwowanej.

Chciałbym ją zapytać, jak ma na imię i skąd pochodzi, ale po latach prowadzenia lokalu nauczyłem się, że zadawanie pytań samotnym klientom może się szybko przerodzić w rozmowę, z której człowiek wychodzi emocjonalnie poturbowany.

Tylko że większość ludzi, którzy tu zagląдают, nie przyciąga mojej uwagi tak jak ona. Wskazuję dwie szklanki i pytam:

– Czekasz na kogoś?

Przysuwa bliżej oba napoje.

– Nie. Po prostu jestem spragniona. – Zrywa kontakt wzrokowy, odchylając się na krześle, przyciągając do siebie notes i skupiając na nim całą uwagę.

Potrafię odczytać sygnał. Idę na drugi koniec baru, aby mogła zostać sama.

Roman wraca z kuchni i kiwa głową w jej stronę.

– Co to za jedna?

– Nie mam pojęcia, ale nie nosi obrączki, więc nie jest w twoim typie.

– Bardzo śmieszne.

## ROZDZIAŁ 3

### Kenna

*Drogi Scotty,  
w starej księgarni urządzili bar. Normalnie w głowie się nie mieści, co?*

*Ciekawe, co zrobili z kanapą, na której siadywaliśmy co niedziela.*

*Przysięgam, że po Twojej śmierci całe to pieprzone miasto zamieniło się w jedną wielką planszę do monopolu. Jakby ktoś przyszedł i podniósł ją, rozsypując wszystkie domy i hotele.*

*Nic nie jest takie jak dawniej. Wszystko wydaje się obce. Przez kilka godzin chodziłam po centrum, próbując się w tym połapać. Byłam w drodze do spożywczego, kiedy moją uwagę zwróciła ławka, na której jadaliliśmy lody. Usiadłam i przez chwilę obserwowałam ludzi.*

*Tutejsi mieszkańcy sprawiają wrażenie beztroskich. Jakby ich świat nie stał na głowie i nie mieli się za chwilę oderwać od chodnika i poszybować w górę. Żyją sobie zwyczajnie, z minuty na minutę, nie mając pojęcia, że krążą wśród nich matki bez córek.*

*Pewnie nie powinnam była iść do baru, szczególnie w pierwszy wieczór po powrocie. Nie żebym miała jakiś problem z alkoholem.*

*Tamta straszna noc była wyjątkiem. Mimo wszystko ostatnią rzeczą, o której powinni wiedzieć Twoi rodzice, jest to, że wstąpiłam do baru, zanim ich odwiedziłam.*

*No ale przecież myślałam, że nadal jest tu księgarnia, a w księgarniach zwykle mają kawę. Byłam rozczarowana, kiedy weszłam do środka, bo miałam za sobą długą podróż autobusem, a później taksówką. Liczyłam na więcej kofeiny, niż może jej dostarczyć dietetyczna cola.*

*Może w tym barze mają kawę. Jeszcze o to nie spytałam.*

*Pewnie nie powinnam Ci tego mówić, ale przyrzekam, że wszystko stanie się jasne, zanim skończę pisać ten list: jeden raz pocałowałam strażnika więziennego.*

*Kiedy nas przyłapali i przenieśli go na inny oddział, czułam się winna, że tym pocałunkiem narobiłam mu kłopotów. Ale on zwracał się do mnie, jakbym była osobą, a nie jakimś numerem. Chociaż nic do niego nie czułam, wiedziałam, że na mnie leci, więc kiedy się pochylił, żeby mnie pocałować, pozwoliłam, by nasze usta się spotkały. W ten sposób wyraziłam wdzięczność. Myślę, że on o tym wiedział i nie miał nic przeciwko temu. Minęły dwa lata od czasu, gdy mnie dotykałeś, więc kiedy przyparł mnie do ściany i chwycił w talii, sądziłam, że poczuję coś więcej.*

*To przykre, ale nie poczułam niczego.*

*Piszę Ci o tym, bo tamten chłopak smakował jak kawa, kawa lepszego gatunku od tej więziennej brei, którą serwują skazanym. Smakował jak droga kawa, taka za osiem dolarów, u Starbucksa, z karmelem, bitą śmietaną i wisienką. Dlatego nie przestawałam go całować. Nie dlatego, żeby podobał mi jego pocałunek lub on sam, albo jego ręka na mojej talii, ale dlatego, że brakowało mi drogiej smakowej kawy.*

*I Ciebie. Brakuje mi drogiej kawy i Ciebie.*

*Kocham Cię,  
Kenna*

– Chcesz dolewkę? – pyta barman. Ma tatuaże, które wślizgują się głęboko pod mankiety koszuli. Nosi ciemnofioletową koszulę – w kolorze, który rzadko się widuje w więzieniu.

Nie myślałam o tym, dopóki nie trafiłam do więzienia, ale jest tam tak szaro i bezbarwnie, że po chwili człowiek zaczyna zapominać, jak wyglądają jesienne drzewa.

– Macie kawę? – pytam.

– Oczywiście. Z mlekiem i cukrem?

– A karmel macie? I bitą śmietankę?

Zarzuca ścierkę na ramię.

– Oczywiście. Chcesz sojowe, odłuszczone, migdałowe czy pełne?

– Pełne.

Barman wybucha śmiechem.

– Żartowałem. To bar. Mamy dzbanek kawy, zaparzonej przed czterema godzinami, do tego mleko i cukier do wyboru. Może być jedno i drugie lub żadne.

Kolor koszuli i to, jak podkreśla on karnację barmana, przestają robić na mnie wrażenie. *Dupek*.

– Wszystko jedno – odburkuję.

Barman idzie po lurowatą więzienną kawę. Patrzą, jak wyjmie dzbanek z ekspresu i unosi, by go powąchać. Krzywi się i płyn trafia do zlewu. Barman odkręca wodę i w międzyczasie nalewa drugą kolejkę piwa jakiemuś facetowi, a później nastawia świeżą kawę i ze stosownym, nieprzesadnym uśmiechem podaje rachunek innemu mężczyźnie.

Nie widziałam nikogo, kto poruszałyby się tak płynnie – jakby facet miał siedem rąk i trzy mózgownice, a w dodatku równocześnie ich używał. Obserwowanie kogoś, kto jest dobry w swoim fachu, działa na mnie hipnotyzująco.

Nie mam pojęcia, w czym jestem dobra. Nie wiem, czy na tym świecie jest cokolwiek, co mogłabym robić bez wysiłku.

Są rzeczy, w których chcę być dobra. Chcę być dobrą matką. Dla moich przyszłych dzieci, ale przede wszystkim dla córki, którą już sprowadziłam na ten świat. Chcę mieć ogród, w którym mogłabym uprawiać rośliny. Rośliny, które zakwitną i nie uschną. I chciałabym się nauczyć rozmawiać z ludźmi, tak aby później nie żałować każdego wypowiedzianego słowa. Chciałabym doznawać dobrych uczuć, gdy facet dotyka mojej talii. I chciałabym umieć żyć tak, aby wyglądało, jakbym żyła bez żadnego wysiłku. Bo do tej pory sprawiałam wrażenie, jakby każdy aspekt mojego istnienia był zbyt trudny do opanowania.

Barman wraca bezszelestnie, kiedy kawa jest gotowa. Patrzę na niego, gdy napełnia kubek, a właściwie chłonę to, co widzę tym razem. Jest tak przystojny, że dziewczyna walcząca o przyznanie opieki nad córką powinna omijać gościa z daleka. Ma oczy, które widziały to i owo, i dłonie, które pewnie przywalały temu i owemu.

I włosy, które wydają się płynne jak jego ruchy. Długie, ciemne kosmyki zachodzą mu na oczy i falują w rytm jego ruchów. Nie dotyka ich. Nie zrobił tego od chwili, gdy usiadłam. Po prostu pozwala, żeby same się układały, choć co jakiś czas niezauważalnie porusza głową, a one przesuwały się tam, gdzie trzeba. Gęste, przyjemne, z rodzaju chcę-zatopić-palce-w-jego-włosach.

Kubek jest pełen kawy, ale barman unosi palec i mówi:

– Jeszcze sekundę.

Odwraca się na pięcie, otwiera małą lodówkę i wyjmuje pełne mleko. Nalewa odrobinę do kubka. Odkłada karton na miejsce, otwiera inną lodówkę i – **n i e s p o d z i a n k a!** – jest bita śmietana. Sięga po coś za plecami, a kiedy jego dłoń ukazuje się ponownie, trzyma w niej wisienkę, którą ostrożnie wieńczy mój napój. Przysuwa mi kubek i rozpościera ramiona, jakby przed chwilą dokonał jakiejś czarodziejskiej sztuczki.

– Nie ma karmelu – tłumaczy. – Więcej się nie dało w lokalu, który nie jest kawiarnią.

Pewnie myśli, że ukręcił burzującego drinka dla jakiejś zepsutej dziewczuchy, która codziennie pija kawę za osiem dolicz.

Nie ma pojęcia, ile czasu minęło, odkąd miałam w ustach przyzwoitą kawę. Nawet podczas miesięcy, które spędziłam w domu tymczasowym, serwowano więzienną lurę więziennym dziewczynom z więzienną przeszłością.

Mogłabym się rozpłakać.

No i się rozpłakałam.

Kiedy zainteresował się klientem siedzącym z drugiej strony baru, pociągnęłam łyk kawy, zamknęłam oczy i zapłakałam, bo życie potrafi być tak kurewsko ciężkie i okrutne, że wiele razy miałam ochotę się z nim pożegnać. Takie chwile jak ta przypominają mi, że szczęście nie jest czymś stałym, co możemy osiągnąć raz na zawsze, ale tylko zdarza się od czasu do czasu, niekiedy w tak śladowej ilości, że ledwie wystarczy do tego, by utrzymać nas przy życiu.

## ROZDZIAŁ 4

### Ledger

Wiem, co zrobić, kiedy dziecko płacze, ale nie mam pojęcia, co zrobić, gdy zalewa się łzami dorosła kobieta. Kiedy pije kawę, trzymam się od niej najdalej, jak potrafię.

Niewiele się o niej dowiedziałem, odkąd tu weszła przed godziną, ale jedno jest pewne: nie przyszła tu, żeby się z kimś spotkać. Przyszła, żeby побыć w samotności. W ciągu ostatniej godziny próbowało do niej zagadać trzech facetów, ale uniosła dłoń i zbyła wszystkich, nie zaszczycając ich choćby spojrzeniem.

Piła swoją kawę w milczeniu. Jest dopiero siódma wieczór, więc pewnie przygotowuje się do sięgnięcia po mocniejsze trunki. Mam jednak nadzieję, że się mylę. Zaintrygowało mnie, że wstała do baru, aby zamówić rzeczy, które rzadko podajemy, i spławiła tych facetów, nawet na nich nie spojrzawszy.

Roman i ja jesteśmy jedynymi, którzy będą tu pracować, dopóki nie przyjdą Mary Anne i Razi. Zrobiło się tłoczniej, więc nie mogę poświęcić dziewczynie tyle uwagi, ile bym chciał, czyli skupić się tylko na niej. Chcę tylko zaznaczyć swoją obecność, ale nie sprawiać wrażenia, że zanadto naruszam jej prywatną przestrzeń.

Gdy dopija kawę, chcę ją spytać, co teraz zamówi, ale zamiast tego każę jej siedzieć nad pustym kubkiem przez dobrych dziesięć minut. Może podejść do niej dopiero po piętnastu.

W międzyczasie spoglądam na nią ukradkiem. Jej twarz to istne dzieło sztuki. Chciałbym, żeby w jakimś muzeum wisiał jej portret, abym mógł się mu przyglądać tak długo, jak będę chciał. Niestety muszę się ograniczyć do ukradkowych spojrzeń, pełen podziwu, że elementy tworzące inne pospolite twarze w jej przypadku wydają się lepiej do siebie pasować.

Ludzie rozpoczynający weekendowy wieczór rzadko przychodzą do baru w codziennym ubraniu, ale ona nie jest wystrojona. Ma na sobie wypłowiałą koszulkę z logo Mountain Dew i džinsy, ale zielone elementy koszulki tak pasują do jej zielonych oczu, że można odnieść wrażenie, że dołożyła wszelkich starań, by znaleźć idealnie dobrany kolor. Choć jestem pewny, że wcale o tym nie pomyślała. Ma rudobrązowe włosy. O jednolitym, zdrowym odcieniu. Jednej długości – lekko poniżej brody. Co jakiś czas przesuwa po nich palcami, sprawiając wrażenie jakby kuliła się w sobie. Gdy na to patrzę, mam ochotę wyjść zza baru, żeby ją podnieść i przytulić.

Jaka jest jej historia?

Nie chcę wiedzieć.

Nie powinienem wiedzieć.

Nie umawiam się z dziewczynami, które poznałem w barze. Dwa razy zламаłam tę zasadę i dwa razy gorzko tego żalowałem.

Poza tym jest w niej coś przerażającego. Nie potrafię tego sprecyzować, ale kiedy z nią rozmawiam, czuję, że głos więźnie mi w gardle. Nie w taki sposób, jakbym stracił oddech na jej widok, ale w bardziej istotny, jakby mózg ostrzegał mnie przed nawiązaniem z nią kontaktu.

Czerwona lampka! Niebezpieczeństwo! Stój!

*Ale dlaczego?*

Nawiązujemy kontakt wzrokowy, kiedy sięgam po jej kubek. Tego wieczoru nie spojrzała na nikogo innego. Tylko na mnie. Powinno mi to schlebiać, jednak czuję się przerażony.

Grałem w lidze zawodowej futbolu i mam własny bar, a boję się odrobiny kontaktu wzrokowego z ładną dziewczyną. Powinienem umieścić to w moim biogramie na Tinderze. *Grałem w drużynie Broncos. Mam własny bar. Boję się kontaktu wzrokowego.*

– Co teraz? – pytam.

– Wino. Białe wino.

Posiadanie baru trudno pogodzić z zachowaniem trzeźwości. Chcę, żeby wszyscy byli trzeźwi, ale potrzebuję klientów. Nalewam lampkę wina i stawiam przed nią.

Kręcę się w pobliżu, udając, że wycieram szklanki, które od wczoraj są suche. Dostrzegam powolne poruszenie krtani, gdy dziewczyna spogląda na wino, niemal tak, jakby nie była pewna, co zrobić. Ułamek sekundy wahania, a może żalu, wystarcza, by podsunąć mi myśl, że może mieć problem z alkoholem. Potrafię odgadnąć, kiedy ludzie rezygnują z trzeźwości, po sposobie, w jaki spoglądają na swoją szklankę.

Picie jest stresujące tylko dla alkoholików.

Ale ona nie pije wina. Cicho sączy colę, aż szklanka staje się pusta. Sięgamy po nią równocześnie.

Kiedy nasze palce się spotykają, czuję, jakby w piersi zamarło mi coś oprócz głosu. Może kilka dodatkowych uderzeń serca. A może erupcja wulkanu.

Dziewczyna cofa palce i kładzie dłonie na kolanach. Odsuwam od niej pustą szklankę po coli oraz pełną lampkę wina, a ona nawet nie podnosi wzroku, żeby zapytać, dlaczego to robię. Wzdycha, jakby ulżyło jej, że zabrałem wino. Po co w ogóle je zamówiła?

Dolewam jej coli, a kiedy dziewczyna nie patrzy, wylewam wino do zlewu i myję kieliszek.

Przez chwilę sączy colę, ale kontakt wzrokowy się urywa. Może ją zdenerwowałem.

Roman spostrzeża, że na nią patrzę. Opiera łokieć na blacie i zagaja:

– Rozwód czy śmierć?

Roman lubi zgadywać, dlaczego ludzie przychodzą tu samotnie i sprawiają wrażenie, jakby nie byli na swoim miejscu. Ona nie wygląda jak ktoś, kto przyszedł tutaj z powodu zakończenia małżeństwa. Laski świętują to wydarzenie, przybywając do baru z bandą przyjaciółek i szarfą, na której widnieje napis *Była żona*.

Ta dziewczyna sprawia wrażenie smutnej, ale nie w taki sposób, który wskazywałby na opłakiwanie zmarłego.

– Obstawiam rozwód – wyrokuje Roman.

Nie odpowiadam. Nie jestem przekonany, czy taka zabawa kosztem jej domniemanej tragedii jest właściwa. Mam nadzieję, że powodem samotnie spędzanego wieczoru nie jest w jej przypadku rozwód ani śmierć, ani nawet zły dzień. Chcę, żeby spotykały ją dobre rzeczy, bo mam wrażenie, że nie doświadczyła ich od długiego, bardzo długiego czasu.

Przestaję na nią patrzeć i zajmuję się innymi gośćmi. Robię to, żeby dać jej odrobinę prywatności, ale ona wykorzystuje tę okazję, by zostawić pieniądze na blacie i wymknąć się z baru.

Przez kilka sekund przypatruję się pustemu stołkowi barowemu i dziesięciodolarowemu napiwkowi, który zostawiła. Zniknęła, a ja nie wiem, jak ma na imię, nie znam jej historii i nie mam pojęcia, czy ją jeszcze zobaczę, więc pędem wybiegam z baru, mknę przez salę, do frontowych drzwi, którymi się przed chwilą wyslizgnęła.

Kiedy wychodzę na zewnątrz, niebo płonie. Osłaniam oczy, zapominając o ostrym świetle, które daje się we znaki, zawsze gdy wychodzę z baru przed zmrokiem.

Odwraca się w tej samej chwili, w której ją spostrzegam. Stoi w odległości około trzech metrów ode mnie. Nie musi osłaniać oczu, bo słońce, obrysowujące jej głowę aureolą, ma za plecami.

– Zostawiłam pieniądze na barze – mówi.

– Wiem.

Przez chwilę patrzymy na siebie w milczeniu. Nie wiem, co powiedzieć. Po prostu stoję jak głupi.

- To o co chodzi?

- O nic - odpowiadam, ale natychmiast żałuję, że nie powiedziałem: „O wszystko”.

Patrzy na mnie. Nigdy tego nie robię. Nie powinienem tego robić, ale wiem, że jeśli pozwolę jej odejść, nie będę umiał przestać myśleć o smutnej dziewczynie, która zostawiła mi dziesięciodolarowy napiwek, choć sprawiała wrażenie, że jej na to nie stać.

- Wróć tu dziś wieczór, o jedenastej. - Nie daję jej szansy na odmowę lub wyjaśnienie, dlaczego nie może tego zrobić. Wracam do baru, mając nadzieję, że moja prośba zaciekawi ją na tyle, aby wieczorem się tu zjawić.

## ROZDZIAŁ 5

### Kenna

Siedzę na dmuchanym materacu z moją bezimienną koteczką, rozmyślając o wszystkich powodach, dla których nie powinnam wrócić do baru.

Nie wróciłam do miasta, żeby się spotykać z chłopakami. Nawet tak przystojnymi jak ten barman. Przyjechałam tu z powodu mojej córki. Kropka.

Jutro czeka mnie ważny dzień. Jutro muszę mieć w sobie siłę Herkulesa, a ten mężczyzna, odsuwając ode mnie lampkę wina, nieświadomie spowodował, że poczułam się słaba. Nie wiem, co takiego dostrzegł w mojej twarzy, że zabrał wino. Nie zamierzałam go wypić. Zamówiłam wino, aby powstrzymanie się przed wypiciem go dało mi poczucie kontroli. Chciałam na nie patrzeć i wdychać jego woń, a później odejść z poczuciem, że jestem silniejsza niż wtedy, gdy siadałam.

Teraz czuję się po prostu zaniepokojona, bo on widział, jak wcześniej patrzyłam na kieliszek, i odsunął go ode mnie w taki sposób jakby pomyślał, że mam świeży problem z alkoholem.

Nie mam. Nie piję od lat, bo jedna tragiczna noc zakrapiana alkoholem zrujnowała pięć ostatnich lat mojego życia. Pięć ostatnich lat życia, które sprowadziły mnie ponownie do tego miasta. Miasta, które sprawia, że staję się nerwowa, a jedyną rzeczą, która koi moje nerwy, jest podejmowanie działań, które budzą we mnie poczucie, że nadal sprawuję kontrolę nad własnym życiem i decyzjami.

*Dlatego nie zamierzałam wypić tego wina, do cholery.*

Teraz nie prześpię spokojnie nocy. Nie mam powodu, aby czuć się świetnie, bo przez niego odczuwam coś całkiem przeciwnego. Jeśli mam przespać tę noc, muszę zrezygnować z czegoś, czego pragnę.

Albo z kogoś.

Od długiego, długiego czasu nikogo nie pragnęłam. Od czasu, kiedy poznałam Scotty'ego. Ten barman wydawał się pociągający i ładnie się uśmiechał, zaparzył świetną kawę i zaprosił mnie, abym wróciła, więc po prostu tam pójść i dam mu kosza.

Później zasnę głębokim snem i będę gotowa, by się obudzić i stawić czoła najważniejszemu dniowi mojego życia.

Szkoda, że nie mogę zabrać ze sobą mojego nowego kotka. Czuję, że przydałby mi się pomocnik, ale kicia śpi na nowej poduszce, którą niedawno kupiłam.

Nie zrobiłam dużych zakupów. Dmuchany materac, kilka poduszek i prześcieradeł, trochę krakersów i sera oraz karma i kuleta dla kota. Postanowiłam, że podczas pobytu w tym mieście będę myśleć najwyżej dwa dni naprzód. Dopóki się nie dowiem, co przyniesie jutro, nie ma potrzeby marnowania pieniędzy, które odkładałam przez sześć miesięcy pracy. Już teraz niewiele mi zostało, dlatego postanowiłam nie dzwonić po taksówkę.

Wyszłam z mieszkania, żeby wrócić do baru, ale tym razem nie zabrałam torebki ani notesu. Potrzebowałam tylko prawa jazdy i klucza do mieszkania. Mój dom dzieli od baru odległość dwóch kilometrów, ale wieczór jest pogodny, a droga dobrze oświetlona.

Trochę się boję, że ktoś mnie rozpozna w barze lub jeszcze zanim do niego dotrę, ale przecież wyglądam zupełnie inaczej niż przed pięcioma laty. Wtedy bardziej o siebie dbałam, ale czas spędzony w więzieniu sprawił, że farba do włosów, doczepy, przedłużane rzęsy i sztuczne paznokcie przestały mnie obchodzić.

Nie mieszkałam tu dostatecznie długo, żeby dorobić się przyjaciół poza Scottym, więc wątpię, aby wielu ludzi rozpoznało, kim jestem. Na pewno wielu o mnie słyszało, ale trudno zostać rozpoznanym, gdy nikt nawet nie odczuł twojego braku.

Patrick i Grace mogliby mnie rozpoznać, gdyby mnie zobaczyli, ale spotkaliśmy się tylko raz przed moim pójściem do więzienia.

Więzi e n i e. Nigdy nie przywyknę do wymawiania tego słowa. Po prostu trudno je głośno wypowiedzieć. Kiedy piszesz poszczególne litery, nie wydają się takie szorstkie, ale gdy wypowiesz je na głos, słowo więzi e n i e staje się cholernie surowe.

Gdy myślę o miejscu, w którym spędziłam pięć ostatnich lat, do głowy przychodzi mi określenie z a k ł a d. O latach, które tam spędziłam, myślę jak o czasie, kiedy mnie nie było i kwita. Nigdy się nie przyzwyczaję do mówienia „Kiedy byłam w więzieniu”.

W tym tygodniu będę musiała to głośno powiedzieć, gdy będę szukać pracy. Ludzie zapytają: „Czy zostałam skazana za popełnienie jakiegoś przestępstwa?”, a ja będę zmuszona odrzec: „Tak, odsiedziałam pięć lat za nieumyślne zabójstwo”.

Później mnie zatrudnią lub nie. Chyba jednak nie.

Dla kobiet są osobne standardy, nawet za kratkami. Kiedy kobieta mówi, że była w więzieniu, ludzie myślą z d z i r a i d z i w k a, ć p u n k a i z ł o d z i e j k a. Gdy faceci wspominają o tym, że siedzieli, ludzie ozdabiają negatywne myśli swego rodzaju odznaką honorową: śmieć, ale cholernie odważny; ćpun, ale twardziel; złodziej, ale robi wrażenie.

Chociaż więzienie także na mężczyznach odciska swoje piętno, kobiety nigdy nie są jednocześnie naznaczone piętnem o r a z odznaką honorową.

Kiedy docieram do centrum, zegar na gmachu sądu wskazuje jedenastą trzydzieści. Miejmy nadzieję, że barman nadal tam jest, chociaż spóźniłam się pół godziny.

Wcześniej nie zwróciłam uwagi na nazwę lokalu, pewnie dlatego, że zobaczyłam go w świetle dnia i byłam zbyt zaskoczona, że nie ma już tam księgarni, ale teraz dostrzegam nad drzwiami mały neon „U Warda”.

Waham się chwilę przed wejściem. Moja obecność tak czy siak prześle facetowi sygnał, a ja nie jestem pewna, czy chcę, aby go odebrał. Jednak alternatywą jest powrót do tej nory i bycie sam na sam z własnymi myślami.

W ciągu pięciu ostatnich lat spędziłam dość czasu na samotnych rozmyślaniach. Pragnę ludzkiej obecności i zgiełku, i tych wszystkich rzeczy, których nie miałam. A poza tym moje obecne mieszkanie trochę przypomina więzienie. Jest w nim tyle samotności i milczenia.

Otwieram drzwi do baru. W środku jest więcej zgiełku, dymu i ciemności niż wcześniej. Nie ma wolnych miejsc, więc spaceruję między ludźmi, odnajduję łazienkę, czekam na korytarzu, czekam na zewnątrz, po czym ponownie wtapiam się w tłum. W końcu zwalnia się boks. Idę przez salę i siadam samotnie.

Obserwuję barmana, który krząta się płynnie za barem. Podoba mi się niewzruszony spokój, jaki od niego bije. Dwaj goście wdają się w sprzeczkę, ale jego to nie obchodzi – jakby nigdy nic pokazuje im drzwi i faceci wychodzą. Często to robi. Pokazuje różne rzeczy, a ludzie po prostu robią to, co im pokazał.

Wskazuje dwóch gości, jednocześnie nawiązując kontakt wzrokowy z drugim barmanem. Ten podchodzi do nich i wypisuje rachunek.

Pokazuje pustą półkę, jedna z kelnerek kiwa głową, a kilka minut później półka jest ponownie pełna.

Wskazuje podłogę i drugi barman znika za podwójnymi drzwiami, aby po chwili wrócić z mopem i wytrzeć rozlany płyn.

Pokazuje haczyk na ścianie i druga kelnerka, ta w ciąży, mówi bezgłośnie „dziękuję”, wiesz fartuszek i wychodzi do domu.

Pokazuje coś, a ludzie to robią. Nadchodzi czas ostatnich zamówień i pora zamknięcia lokalu. Goście powoli wychodzą. Już nikt nie wchodzi do środka.

Nie spojrział na mnie. Ani jeden raz.

Zaczynam żałować, że przyszłam. Sprawia wrażenie zajętego. Może wcześniej źle go zrozumiałam. Kiedy powiedział, żebym wróciła, założyłam, że zrobił to z jakiegoś konkretnego powodu, ale przecież może tak mówić wszystkim gościom.

Wstaję, myśląc, że może i ja powinnam była wyjść, ale gdy widzi, że się zbieram, znów przekazuje wiadomość bez słów. Wykonuje prosty ruch palcem, nakazując, abym usiadła. I siadam posłusznie.

Oddycham z ulgą, że moje przeczucie okazało się prawdziwe, ale im bardziej sala pustoszeje, tym bardziej staję się nerwowa. Pewnie barman myśli, że jestem dorosłą kobietą, ale ja czuję się ledwie pełnoletnia. Jestem dwudziestosześcioletnią niedoświadczoną nastolatką, która zaczyna wszystko od zera.

Nie wiem, czy przyszłam tu z właściwych pobudek. Myślałam, że po prostu wejść, trochę z nim poflirtuję i wyjdę, ale on jest bardziej kuszący od drogiej kawy. Przyszłam tu, żeby dać mu kosza, bo nie miałam pojęcia, że będzie całą noc posługiwał się władczymi gestami i że w końcu wskaże na mnie. *Nie miałam pojęcia, że takie zachowanie może być sexy.*

Ciekawe, czy podniecałoby mnie to pięć lat temu, czy może dzisiaj zadowolenie mnie jest żałośnie łatwe.

Kiedy dochodzi północ, jesteśmy ostatnimi ludźmi w barze. Pracownicy wyszli, drzwi są zamknięte, a on niesie na zaplecze skrzynkę pustych szklanek.

Przyciągam zgietą nogę do brzucha i oplatom ją ramionami. Jestem zdenerwowana. Nie wróciłam do tego miasta, żeby poznać faceta. Przyjechałam tu w znacznie ważniejszej sprawie. Sprawie, którą ten facet mógłby pogrzebać koniuszkiem palca.

Jestem jednak tylko człowiekiem, a ludzie potrzebują towarzystwa. Nawet jeśli nie przyjechałam do miasta w celu zawierania nowych znajomości, tego faceta trudno zignorować.

Wchodzi podwójnymi drzwiami. Ma na sobie inną koszulkę. Już nie nosi tej fioletowej koszuli, z kołnierzykiem i zakasanyimi rękawami, jak pozostali pracownicy. Założył biały T-shirt. Taki prosty i jednocześnie taki skomplikowany.

Uśmiecha się, gdy do mnie dochodzi. Mam wrażenie, jakby jego uśmiech otulił mnie niczym grubym ciepłym kocem.

– Wróciłaś.

Staram się udawać obojętną.

– Prosiłeś.

– Chcesz się czegoś napić?

– Dziękuję.

Teraz dotyka włosów, odgarnia je do tyłu i patrzy na mnie. W jego oczach szaleje wojna. Chociaż żadną miarą nie jestem neutralna jak Szwajcaria, podchodzi do mnie. Siada obok. P r z y m n i e. Moje serce zaczyna szybciej bić, szybciej niż wtedy, gdy wieki temu Scotty czwarty raz stanął w kolejce do mojej kasy.

– Jak ci na imię? – pyta.

Nie chcę, żeby znał moje imię. Wygląda tak, że mógłby być w wieku Scotty'ego, gdyby Scotty żył, a więc mógłby pamiętać moje imię lub mnie, lub pamiętać, co się wtedy stało. Nie chcę, aby ktokolwiek mnie znał lub pamiętał, czy ostrzegł rodzinę Landrych, że przyjechałam do miasta.

To nie jest dziura, ale też nie ogromne miasto. Moja obecność nie pozostanie długo niezauważona. Musi jednak pozostać niezauważona d o s t a t e c z n i e długo, więc tak jakby kłamię, podając mu drugie imię.

– Nicole.

Nie pytam o jego imię, bo ono nic mnie nie obchodzi. Nigdy więcej go nie zobaczę. Nigdy już tu nie wrócę.

Ciągnę kosmyk włosów, podenerwowana, że po tak długim czasie znajduję się tak blisko drugiego człowieka. Czuję się tak,

jakbym zapomniała, co robić, więc wypalam prosto z mostu słowa, które mnie tu przywiodły.

– Nie zamierzałam go wypić.

Przechyla głowę, zmieszanym moim wyznaniem, więc tłumaczę:

– Wina. Czasami... – Kręcę głową. – Wiem, że to głupie... Czasami zamawiam alkohol tylko po to, żeby go nie wypić. Nie mam problemu z alkoholem. Myślę, że chodzi raczej o poczucie kontroli. Dzięki temu czuję się mniej słaba.

Przypatruje się mojej twarzy z cieniem uśmiechu majaczącym na ustach.

– Szanuję to – mówi. – Rzadko piję, z podobnych powodów. Co noc mam do czynienia z pijanymi ludźmi, ale im dłużej z nimi przestaję, tym mniej pragnę zostać jednym z nich.

– Niepijący barman? To rzadkość, prawda? Sądziłam, że najwyższy odsetek alkoholików jest wśród barmanów. Łatwy dostęp.

– Najwyższy jest w branży budowlanej. Pewnie nie poprawia to moich szans. Od kilku lat buduję dom.

– Sam skazujesz się na porażkę.

Uśmiecha się.

– Na to wygląda. – Rozluźnia się nieco bardziej. – Czym się zajmujesz, Nicole?

W tej chwili powinnam odejść. Zanim powiem za dużo, zanim zada więcej pytań. Jednak podobają mi się jego głos i jego towarzystwo i mam wrażenie, że pozostanie tutaj mogłoby mi dostarczyć rozrywki, a ta jest mi teraz naprawdę potrzebna.

Po prostu nie chcę nic mówić. W tym mieście mówienie oznacza same zmartwienia.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, jak zarabiam na życie? – Jestem pewna, że wołałby wsunąć mi dłoń pod bluzkę niż wysłuchiwać tego wszystkiego, co dziewczyna mogłaby powiedzieć w takiej chwili. A ponieważ wołałabym nie przyznawać, że nie zarabiałam na życie, bo przez pięć lat byłam w pudle, siadam mu na kolanach.

Jest zaskoczony, niemal tak jakby naprawdę oczekiwał, że przez następną godzinę będziemy sobie siedzieć i prowadzić pogaduszki.

Lekko zszokowana mina zamienia się w wyraz akceptacji. Dłonie zsuwają się na moje biodra i je obejmują. Fizyczny kontakt sprawia, że przechodzi mnie dreszcz.

Barman sadza mnie trochę wyżej. Czuję go przez jego dżinsy i nagle nie jestem już taka pewna, że mogę odejść, jak jeszcze pięć sekund temu. Pomyślałam, że mogłabym go pocałować, a później powiedzieć dobranoc i dumnym krokiem wrócić do domu. Po prostu chciałam się poczuć odrobinę silniejsza przed jutrzejszym dniem, ale teraz barman przesuwa palcami po mojej talii, co powoduje, że staję się coraz słabsza i tak cholernie bezmyślna. Nie tak b e z m y ś l n a jak wtedy, gdy człowiek jest obojętny, ale gdy ma pustkę w głowie i pierś wypełniającą się uczuciami, które rosną niczym ognista kula.

Przesuwa prawą dłoń po moich plecach. Tracę oddech, bo jego dotyk przechodzi mnie jak prąd. Teraz dotyka mojej twarzy, przesuwa palce po kościach policzkowych, koniuszkami palców dotyka warg. Wpatruje się we mnie, jakby próbował odgadnąć, skąd mnie zna.

Może to po prostu moja paranoja.

– Kim jesteś? – szepcze.

Już mu powiedziałam, ale mimo to powtarzam drugie imię.

– Nicole.

Uśmiecha się, ale po chwili poważnieje i mówi:

– Wiem, jak ci na imię. Skąd się tu wzięłaś? Dlaczego spotkałyśmy się dopiero tej nocy?

Nie chcę jego pytań. Nie mam uczciwych odpowiedzi. Przyśuwam się nieco bliżej jego ust.

– A ty? Kim t y jesteś?

– Ledger – odpowiada, a później rozdziera moją przeszłość, wrywa to, co pozostało z mojego serca, rzuca na podłogę i mnie całuje.

Ludzie mówią „wp a ś ć w sidła miłości”, ale wpaść to bardzo smutne słowo, jeśli się nad tym głębiej zastanowić. Wpadki nigdy nie są dobre. Można wpaść w błoto, na ścianę, w otchłań.

Pierwsza osoba, która użyła tego określenia, musiała wcześniej wpaść z sideł, inaczej wymyśliłaby lepsze określenie.

Scotty wyznał mi miłość w połowie naszej znajomości. W noc, kiedy pierwszy raz miałam spotkać jego najlepszego przyjaciela. Poznałam już jego rodziców. Scotty był tym podekscytowany, ale nie tak bardzo jak wtedy, gdy miał mnie przedstawić gościowi, którego uważał za brata.

Do spotkania nigdy nie doszło. Nie pamiętam dlaczego. To było dawno temu. Jego przyjaciel musiał je odwołać. Scotty był smutny, więc upiekłam mu kruche ciasteczka i wypaliliśmy skręta, a później zrobiłam mu loda. Wiecie, najlepsza dziewczyna na świecie.

*Dopóki go nie zabiłam.*

Ale to było trzy miesiące przed jego śmiercią. Tamtej nocy, chociaż smutny, wydawał się niezwykle ożywiony. Kiedy mówił „Tak cholernie cię kocham, Kenno. Kocham cię bardziej niż kogokolwiek na świecie. Tęsknię za tobą cały czas, nawet gdy jesteśmy razem”, jego serce waliło, puls przyspieszał, klatka piersiowa falowała, a w oczach błyszczały łzy.

To utkwilo mi w pamięci. „Tęsknię za tobą cały czas, nawet gdy jesteśmy razem”.

Myślałam, że była to j e d y n a rzecz, która utkwiała mi w pamięci z tamtej nocy, ale się myliłam. Zapamiętałam coś jeszcze. Imię. L e d g e r.

Najlepszy przyjaciel, który nigdy się nie pojawił. Najlepszy przyjaciel, którego nigdy nie poznałam.

Najlepszy przyjaciel, który wsunął właśnie język do moich ust, rękę pod moją koszulkę i swoje imię do mojego serca.